XXIII. Kraków 1 października 1920 r. Nr. 19.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przes. poczt. 39 M. 90 f. Do Ameryki rocznie 6 dolarów.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 679

[illegible]

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień", Łódź, Piotrkowska 81.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej M. 2·—, na miejscu specyalnie zastrzeżonem M. 3, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy M. 4·—, za wiersz petitowy w części redakcyjnej M. 12.

Numer pojedynczy 7 Marek. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 7 Marek.



ZE STRATEGII; Nieprzyjaciel ucieka.. Tyły ma dobrze zabezpieczone.

Od Wydawnictwa.

Z numerem niniejszym zaczynamy IV-ty kwartał XVI-go roku naszego wydawnictwa, wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy też o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto bowiem przedpłaty nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Przesyłając rachunki za miesiąc sierpień b. r. upraszamy stałych P. T Odbiorców o wyrównanie tychże listem pieniężnym wprost do Administracyi pisma Kraków XV, Kazimierza Wielkiego 95, a nie czekiem P. K. O., jak dotychczas było praktykowane.

Z powodu ponownego podrożenia papieru oraz wszelkich materyałów drukarsko-technicznych jesteśmy zmuszeni podnieść prenumeratę „Bociana“.

Z dniem 1 marca b. r. cena pojedynczego numeru tak w mieście, jak i na prowincyi, wynosi 7 Mk, kwartalnie 39 Mk 90 f, półrocznie 79 Mk 80 f., rocznie 159 Mk 60 f.

Godzina ordynacyjna.

— A dokądże konsyliarz tak spiesznie?
— Już trzecia!... Godzina ordynacyjna!...
— Aha!... Czekają pacyenci!
— To nie!... W tej porze przyzwyczaiłem się spać codziennie, gdyż mam zapewniony spokój...

Wytłómaczenie

— Dlaczego pies podnosi czasem jedną nogę do góry?
— Z ostrożności! Raz zdarzyło się, że podczas załatwiania podobnej czynności zwaliła się nań kamienica. Nauczony doświadczeniem, stara się temu zawczasu przeszkodzić...

Pieśń o czeskim harfiarzu.

W zlatej Praze Fidrygal
Aż od gładu podrygal,
Sem byl glodny, na pól nahy
Wyjechal ze zlatej Prahy —
Do Krakowa se wytrynil
Bych muzyckie hranie czynil.
Hraj na harfie, Fidrygale,
Masz zarobki tu niemale.
I nie bedesz Fidrygal
W Praze z glodu podrygal!

Pan Bóg dał.

Po sześciu latach wojny wraca do domu zupełnie niespodzianie pan Tomasz. Żona dawno już zwątpiła o jego powrocie, nie dawał bowiem znaku życia. Przyjęła go przecież, jak kochająca żona dawno niewidzianego męża.

Pan Tomasz zdziwił się, że żona zmieniła mieszkanie i pyta:
— A czyj to dom?
— Nasz!... — odpowiada połowica — Pan Bóg dał!...
W duchu podziękował Panu Bogu, że się opiekował samotną kobietą i pyta dalej:
— A ta krowa, którą widziałem na podwórzu?
— Nasza!... Pan Bóg dał!...
Tymczasem weszli do domu. W izbie widzi pan Tomasz kołyskę, a w niej „jednoroczniaka“.
— A to czyje!...
— Nasze!... Pan Bóg dał!...
— To mi się już zaczyna niepodobać!.. — rzekł po chwili. — Nie lubię, gdy mi się kto zanadto rządzi w domu w czasie mej nieobecności.



Czem skorupka nawrze.

— Powiadam ci, kłopot z tym prokuratorem!.., Znów mi skonfiskował artykuł!
— I cóż tam było takiego?
— Literalnie nic!... Ale ja mam zwyczaj przytaczać łacińskie cytaty i nieszczęście chciało, że użyłem fałszywego wyrażenia. A on był przedtem profesorem i specyalistą od łaciny i greki. Oświadczył, że to budzi publiczne zgorszenie i nie dał się ubłagać!...

Ostrożnie z... muzyką!

— Kłopot, moja pani kochana, z temi dziećmi!.. Moja Frania, to dziewczyna nad wyraz utalentowana i muzykalna. Cały dzień siedziała tylko przy fortepianie i grała jakieś tam kołysanki... Tak się tem przejęła, że, choć nie wyszła za mąż, musiałam jej sprawić... kołyskę!

Rzecz o gęsiach.

W tym roku nie wiem,
Czy mi się uda
Gęś skonsumować,
Bo fara chuda.

Gęsi zdrożały,
Jak każdy to wie,
Jak wszystko prawie
W naszym Krakowie.

Zwłaszcza, że ptactwo
Z krakowskiej ścierni —
Chętnie rodacy
Jedzą koszerni.

Lecz wejdę w układ
Gdzie z „bałabustą“:
Odstąpi gąskę
Trefną — lecz tłustą.

Rozczarowanie ś. p. pana Telesfora.

(ZDARZENIE NAJZUPEŁNIEJ PRAWDZIWE).

Pan Telesfor spoczywał już od lat piętnastu na cmentarzu rakowickim w familijnym grobie, gdy go pewnego dnia wezwano do kancelaryi zakładu.

Zdziwił się w pierwszej chwili, ale poszedł, był bowiem bardzo skrupulatny i szanował wszelkie urzędowe wezwania.

— Panie Telesforze, — rzekł doń zarządca cmentarza. — Spoczywa pan tu snem wiecznym już od lat piętnastu, sprawuje się pan dobrze, corocznie głosuje pan na karty magistrackie przy wszystkich wyborach, należy się też panu jakaś przyjemność. Jeżeli pan sobie życzy, pozwolę panu pójść na kilka godzin do miasta, zwłaszcza że przekopują właśnie kwaterę, w której leży pański grób i zakłócają panu spokój wieczny. Ma pan ochotę?

— I owszem! — odpowiedział. — Ciekawy jestem, jak też Kraków wygląda.

— Ale warunek!... Niech się pan przypadkiem przed kim nie wygada, skąd pan przybywa, gdyż potem wszyscy chcieliby, aby i im pozwolić... A to być nie może. Robię tylko dla pana wyjątek!

— Dziękuję bardzo!... Zastosuję się do żądania...

— No i w tym fraku pójść pan nie może!.... Jest tu stara zarzutka, niech ją pan wdzieje na wierzch... Znajdzie się i stary jaki kapelusz... A na siódmą proszę wrócić, gdyż bramę się zamyka...

I poszedł pan Telesfor, zwłaszcza, że był posiadaczem złotej dziesięciokoronówki, a z rozmów, jakie nieraz na ławce koło jego grobu prowadzono, wiedział, że złoto dobrze stoi. Rozweseli się więc, a to mu się chyba po piętnastu latach spoczynku należało...

Szedł zatem w stronę miasta, rozglądając się ciekawie. Kraków taki sam, jak był za jego czasów. Smieci dość, stare domy odnowione, nowych trochę przybyło, chodniki zniszczone... Ludzie tylko się zmienili. Same obce twarze. Nie brak dobrze wyglądających, ale większość, to chodzące głodomory, zupełnie natomiast nie spotyka się pośrednich, których dawniej tyle było. Nikt się zatem nie zdziwi, że i on wygląda nie najlepiej...

Koło dworca kolejowego spotkał jakiegoś jegomościa, którego oblicze budziło zaufanie, postanowił zatem zaproponować mu nabycie swej złotej dziesięciokoronówki, która szczęśliwie uszła uwagi spadkobierców i mogła się dziś przydać. Ten go chyba nie oszuka.

Gdy obcy dowiedział się, o co się rozchodzi, zgodził się na kupno, ale oświadczył:

— W banku płacili wczoraj za nią trzysta trzydzieści marek, ale ja nie mogę dać więcej, jak trzysta. Może kurs spadł...

— Niech będzie trzysta!... — rzekł pan Telesfor, wziął pieniądze, ciesząc się, że ich ma tak dużo i powędrował w stronę Rynku.

— Ano!... Trzeba sobie zapalić!... Piętnaście lat nie miałem cygara w ustach!... — pomyślał i skierował się ku głównej trafice.

Niestety, spotkał go zawód. Na wstępie zapytano:

— A ma pan kartę chlebową?...

— Na cmen... — zaczął się już tłumaczyć, ale na czas przypomniał sobie przestrogę zarządcy...

Odszedł z kwitkiem, ale szczęśliwie trafił na jakiegoś malca, który ofiarował przedwojenne szporty. Kupił pięć sztuk, zapłacił za nie dziesięć marek, a za napiwki dwie marki, nie zdziwił się tem, wiedząc dobrze, że teraz wszystko drogie.

Dochodziła trzecia, warto zatem wstąpić, by się posilić. O tym czasie chyba znajomych nie spotka.

I wszedł do knajpki, do której za życia stale uczęszczał... Jakie zmiany!... I lokal mniejszy, i na bufecie nic prócz sera, ogórków i jakichś śledzi o bardzo podejrzanym wyglądzie... A dawniej był to lokal pierwszorzędny!... Wypił kieliszek wódki, która mu zupełnie nie smakowała, zjadł plasterek salcesonu na ogryzku chleba, dla wzmocnienia napił się szklankę wina... Gdy przyszło płacić, złapał się za głowę!... Siedmdziesiąt sześć marek, gdy dawniej można to było opędzić jedną koroną i dostało się resztę...

Wychodził już, gdy w drzwiach trafił na dawnego znajomego. Chciał go minąć, ale ten go poznał

— Jeżeli mnie oczy nie mylą — pan Telesfor? — zawołał.

— Do usług!

— Więc pan żyje?...

— Jak pan widzisz!...

— Ogromnie się cieszę!... A zdawało mi się, że byłem na pańskim pogrzebie... Będzie temu lat z piętnaście!

— To może na mojego brata, który także umarł!...

— I cóż się z kochanym panem dzieje?... Gdzież pan stale przebywa?

— Niedaleko Rakow...

— Co widzę?... Pan we fraku?... Pewnie się pan stara o jaką posadę!... Mój panie, może i ja mógłbym się tam dostać, gdzie pan jest...

— Z pewnością!...

— Nie potrzebuje pan przypadkiem skóry na podeszwy?... Udało mi się tanio kupić!... Będzie na podeszwy dla pana i zostanie jeszcze na obcasy dla dobrodziejki!...

— Nie potrzebuję!... Ja w tych trzewikach każę się pochować!...

— To zbytek!... Dziś się nieboszczyków chowa bez ubrania, a ubrania się sprzedaje...

I teraz dopiero wytłómaczył sobie pan Telesfor, skąd pochodzi to dzwonienie zębami, jakie słychać, zwłaszcza w zimne noce na cmentarzu.

Ciekawość go jednak zmogła, zapytał więc przyjaciela:

— A ileż za tę skórę?

— Tysiąc pięćset marek!... Jak Boga ko-

Z astronomii.

— A! kochany pan Jacenty!
Jakże żona, dzieci?
Pańska żona zawsze jeszcze
Tak jak gwiazda świeci?
Zawsze jeszcze pełna wdzięku,
Powabne ma lica?
— A tak, panie... istna gwiazda!
Wielka Niedźwiedzica!

Okólnik.

Pannie Frani stał się wypadek i to, jak dla panny, bardzo brzydki. Odwiedził ją niespodzianie bocian, przynosząc córeczkę.

Biedaczka była początkowo zrozpaczona, potem pogodziła się z losem, bo i cóż było robić!

W rozmowie z panną Józią, serdeczną przyjaciółką, zauważyła:

— Kłopot jednak mam z wyborem ojca! Nie wiem na kogo się ostatecznie zdecydować, bo to i Stefan nie jest bez winy i Kazimierz także, Bronek i Franek też w tem rękę maczali...

— Jeśli tylko rękę... — przerywa Józia.

— Tak się mówi!... Ale radź, co robić? Do którego z nich się zwrócić?

A Józia na to:

— Ja radziłabym ci napisać do nich okólnik!... Jeśli są honorowi, to się poczują do spełnienia obowiązku!...



Z dziedziny akustyki.

Ktoś złośliwy wynalazł przysłowie „Głupi, jak tenor“.

Wynalazca przysłowia nie zastanowił się jednak nad tem, że pusta głowa to nieoceniony skarb dla śpiewaka, głos jego zyskuje bowiem na sile i dźwięku.

Kto zna prawidła odbijania się głosu, ten musi przyznać racyę!...

Fatalne omyłki druku.

Z ogłoszenia: Restauratorzy i kawiarze mają się do dnia 20 b. m. zgłosić w Urzędzie aprowizacyjnym i przedłożyć cennik potraw i naboi celem ewentualnego zatwardzenia.

* * *

Z cennika księgarskiego: „Kłopoty starego komedyanta“.

Mądre myśli

w praktycznem zastosowaniu.

Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem... — słyszał mały Wojtuś z ust księdza katechety — i zastosował tę metodę kawałkiem wojennego chleba wobec Franka, ale... mu nabił guza!

Oko za oko, ząb za ząb... wspomniał sobie złodziej, gdy kradł sztuczną szczękę w pracowni dentysty, który mu wczoraj wyrwał dwa zęby.

Módl się i pracuj... powtarzał sobie złodziej, gdy się wybrał do kościoła na operacye kieszeni pobożnych.

Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło... Niestety, do tego zdania nie chce się zastosować pan inspektor podatkowy i każe płacić, a nie pyta się nawet, skąd wziąć na to!

Sens moralny.

Józika raz się jęła fantazya dość dzika,
Że drwił sobie balamut ze zwykłego guzika.
Drwił do czasu, lecz wkrótce przekonał się Józik,
Że najlepszym jest stróżem moralności... guzik.

Zbytnia wrażliwość.

— I co pani powie na to?... Mecenasowa nabawiła się malaryi, czytając Keplinga „W kraju dżungli“...

— To jeszcze nic! Mojemu mężowi porobiły się nagniotki na przyprawionej nodze...

Nasi przemysłowcy.

— Jojne!... Ciebie Szloma oszukał!... Ten koń jest ślepy na jedno oko!... Nie wart ani połowy tego, coś zapłacił!

— Niech jego szlag trafi za moją krzywdę!... Ale ty potrzebujesz wiedzieć, że ja jemu za tego konia zapłaciłem samemi fałszywemi tysiącmarkówkami!

Internowana.

— Cóż się dzieje ze Stefką?... Dawno jej nie widziałem.

— Wojskowość ją internowała!

— Czy być może?... Pewnie coś niepotrzebnie chlasnęła, bo to baby nigdy na swój język nie uważają!... Żal mi biedaczki!...

— Jej tam bardzo dobrze!... Bo to, trzeba ci wiedzieć, nie jest takie zwykłe internowanie!... Ona poszła na utrzymanie do jednego porucznika!...

---

cham, że to prawie za bezcen! — Pożegnawszy się, podążył pan Telesfor ku swej dawnej kamienicy, w myśli, że może spotka kogoś ze swych bliskich...

Nie było nikogo.

Zaszedł do stróżki, by się o ich losach poinformować. Ta sama, Wojciechowa, co już jego znała, z tą tylko różnicą, że gdy dawniej klepała biedę, teraz się jej właśnie dobrze powodzi, zauważył bowiem na stole pieczoną gęś, a w jej ustach złote zęby.

Od niej dowiedział się, że żona jego wyszła za mąż za jakiegoś młodego człowieka, kamienicę sprzedała, a teraz bawi tam, gdzie to „ser kopią“.

— Pewnie w Szwajcaryi? — dorzucił.

— Tak!... Na początku wojny tam pojechali, bo on się bał, aby go nie wzięli do wojska... Kamienica już w czwartem ręku!... A może pan chciałby kupić?...

— Może!... A ile też za nią?

— Właściciel obecny dał milion, a żąda półtora...

Teraz dopiero zaczął pan Telesfor żałować, że umarł zawcześnie!... Jemu za nią ofiarowano tylko ośmdziesiąt tysięcy i to koron...

— Pan dobrodziej bardzo podobny do mego nieboszczyka pana. Świeć Panie nad jego duszą, bo był dobry i uczciwy!

— Być może!... Kolegowaliśmy ze sobą w szkole!... — i wyniósł się coprędzej, aby się nie narazić na dalsze niepotrzebne indagacye, zresztą i Wojciechowa musiała pospieszyć na wezwanie męża, który wołał:

— Chodź, stara! Gęś wystygnie!...

W Sukiennicach kupił w kramie sznurowadło do trzewików, gdyż stare, widocznie zbutwiałe, pękło, i dziwił się, że żądano za nie tylko... sześć marek, gdy przedtem płacił za nie trzy centy!...

Równocześnie spostrzegł obok jakiegoś pana w wytartym surducie, który kupował bochenek chleba. Twarz wydawała mu się znajoma, zainterpelował też przekupkę, czy nie wie, kto to taki.

— To profesor z Akademii — odpowiedziała. — Co miesiąc po pierwszym kupuje u mnie cały bochenek chleba... Opuszczam mu nawet z litości o markę, bo to taka biedota... Trzeba ludziom pomagać!...

Potrząsnął głową i pomyślał sobie, że przecież dziwne są skutki tej wojny, która miała poprawić byt ludzki... Jednym dała za dużo, a drugim?...

Na Małym Rynku pozwolił sobie na funt śliwek za siedm marek, wsiadł do szerokotorowego tramwaju, którego nie znał i za trzy marki pojechał na Podgórze, a stamtąd już piechotą wrócił do miasta. W ulicy Bożego Ciała nie mógł się przecisnąć przez tłum, zebrany koło restauracyi Spatza. Dowiedział się, że tu jest właściwa giełda i aż mu uszy puchły od milionów, którymi tu operowano...

Czasu miał jeszcze dość, wszedł zatem do pewnej kawiarni obok plant, siadł przy stole, kazał sobie podać kieliszek wódki i kilka ciastek, potem filiżankę czarnej kawy. Szczególniej podobały mu się miniaturowe ciasteczka, których byłby w stanie zjeść kopę. Rozglądał się wokoło, dziwiąc się, że towarzystwo przeważnie o wschodnich rysach, a każda z pań, niczem ruchoma wystawa jubilerska. Tego w dawnych czasach nie było...

Do stolika przysiadł się po pewnym czasie jakiś młodzieniec i rozpoczął z panem Telesforem pogawędkę.

— Pan łaskawy nie tutejszy?... — pytał.

— Niby tak, a niby nie!... — odparł spokojnie.

— Zapewne z interesami?

— Być może...

— A z jakimi, jeżeli można wiedzieć?

— Może ja mógłbym czem służyć?... Ja mogę dostarczyć, czego pan zażąda, i to po bardzo niskiej cenie... A może pan chce kupić kamienicę?...

— Nie!... Mam swoją własną, w której mi bardzo wygodnie...

— A w której dzielnicy?

— Szósta... szósta... aha! Wesoła!... A może ją pan dobrodziej teraz sprzedać?

— Nie!...

— Ja dobrze zapłacę!... Można oglądnąć?

— Dlaczego nie?

— A bliższy adres?...

— Kwatera... — i znów ugryzł się w język, przypomniawszy sobie przestrogi zarządcy.

Przy płaceniu skontrolował rachunek i dowiedział się, że z kwoty ośmdziesiąt dziewięć marek ośm idzie na podatek...

— No... — zauważył — zapewne narodowy?

— Nie!... — objaśnił płatniczy — dla mnie zamiast napiwku...

Pan Telesfor schował ze wstydem dwadzieścia fenigów, jakie miał przygotowane na „tryngla“.

Szósta dochodziła, trzeba się zabierać do odwrotu. Po drodze kupił kilka gazet, za które zapłacił trzydzieści dwie marki, a w Rynku chciał zgodzić fiakra, ten jednak zażądał za kwadrans pięćdziesiąt marek, a w końcu oświadczył, że nie pojedzie, bo... kobyła zmęczona.

Wrócił zatem piechotą, by mieć bodaj kilka marek na wszelki wypadek przy sobie i pięć minut przed siódmą zameldował się w zarządzie.

— Lubię punktualność!... — rzekł pan zarządca. — Ilekroć pan będzie miał ochotę zrobienia takiej wycieczki, proszę się zgłosić...

Niema głupich!... — odpowiedział pan Telesfor. — Już sobie więcej nie pozwolę na coś podobnego!... Tu, panie, i lepiej i spokojniej i wygodniej, niż tam!...

Machnął lekceważąco ręką i odszedł powoli do grobu familijnego, aby go już nigdy nie opuścić.



— Róziu! proszę na salę!
— A to po co?
— Jeden gość zażądał z kuchni tłustej gąski!



— Jestem zdenerwowana i niespokojna, mój przyjacielu. Mam uczucie jakbym połknęła jajko Kolumba!



— Mam ci powierzyć mężulku pewną słodką tajemnicę.
— Tak? O! mów nieszczęsna, kogo podejrzywasz o ojcostwo?!



— Kto jest ten facet co wciąż idzie za nami?... Nie pamiętam dokładnie tej fizyonomii, czy to twój kochanek, czy mój wierzyciel?



— Kajetan poświeci mi przy rozbieraniu!... Wychodzę z zasady, że służący względem swej pani nie ma oczu ani uszu!
— Ale resztę, czy mieć może?



— Dlaczego pani nie chce iść za mąż?
— Bo jestem najmłodszą ze wszystkich sióstr, a moja mama każe nam po starszeństwie iść do łóżka!



— Co odpowiedział hrabia na mój list?
— Nic? dał tysiąc marek a po resztę przyjdzie do pani wieczorem!



— Powiedz mi Fela, dlaczego właściwie zerwałaś ze swym narzeczonym?
— Ach! ty nie masz pojęcia jak ten człowiek przez sen kopie!

Ferdek Eleuteryk.



Kuždo Teresa mo swoje jenteresa, bo i jakże mogłaby być bez jenteresu?... N e byłaby wtedy Teresą!... Jedna mo jenteres mniejszy, drugo większy, ale kuždo musi mieć.

Ale i jo choć nie jestem Teresą, mom całe zatrzęsienie jenteresów. Nie tam, gdzie je mają Teresy, ino na makówie, z któryj drze człek wióry, nie wiedzący, co ma być na zimę robiący.

A zimno zbliża się wilczym krokiem, a kużde stworzynie myśli o tym, aby porobić na tę porę zapasy, bo to nie jest żadna przyjemność z głodu i chłodu skrepirować i narazić się na te ciężkie czasy na wydatki pogrzebowe. Nawet taka mikrna mrówka, z tych, co to Pan Tadeusz w Maryji Malczewskiego łapał Telimenie pod... falbanami, znosi do swygo ula zapasy na zimę, a pszczółka do swygo mrowiska, aby było z czygo robić miód, którym potym urzynają się ludzie u Robackigo i „pod Krzyżykiem".

I człowiek chciałby się z taką mrówką lub pszczółką być bawiącym, ale nie chyci!... Znosiłby może, gdyby na to mioł, ale teroz cinżko o hopy. Nawet pan Grabski, który jest ministrem od fajansów i z urzyndu gmyro w złocie, narzyko cięgiem na ich brak i wybroł się po kweście aż do Paryża.

Z jedzyniem to już mniejszo bida, bo bez wojne mieliśmy się czas od nigo odzwyczaić. Skróś tygo kozali temu prezydentowi z Korku robić głodówę, aby i naród wszelaki był wiedzący, że i cały misiąc bez żarcia można się być obchodzącym, a nie poknaje sie na doline Józefata, gdzie się już pono robi przygotowanie do sądu ostatecznygo. Stawiają tam wielgi padawan, za którym dla przyzwoitości staną worenne nieboszczyki, to jest te, które wyjechały do wiecznyj szczyńśliwości w garderobie wojennej, (takiej, co to z przodu jest coś, jak to mówią „na aptykę", a z tyłu z przeproszyniem golizna!...). Spadkobiercy sa zdanio, że im nieboszczyki mają na sobie mniej, tym im tam bedzie weselij.

Ja jednak miałem gwarzyć o żyjących, nie o tych, co już kopyta na żywot wieczny wyciągneni. Żryć, jak kuždemu wiadomo, było mało, a tam jest jeszcze mnij, bo, choć żniwa były klawe, ale sie „zboże nie udało". Tak gwarzą wozignojki. Zapasów więc robić na zimę ni mogli, trza na to być paskarzem lub innym milionerem. Wystarczy frygnąć od czasu do czasu bele co, aby ino z głodu nie zdechnąć. Mówią, że „dobra psu mucha", ale to nie jest wiele pożywny artekuł. Kto nie wierzy, niech spróbuje i nałapie much. A teraz łatwo, bo są weseliska urządzające i zapominają skróś tygo o Bożym świecie.

Grunt, aby człowiek mioł sie gdzie zagrzoć i wyspać.

W pirszyj leniji trza więc okna w porządku zakitować, aby ciepłość z mieszkanio nie uciekało, a to przyńdzie nom z łatwością, momy bowiem już w najbliższym czasie wojenny chlib być dostający, a ten nadaje sie akurat do tygo. Nawet Kita Grynwalda, który oszkliwał pół Krakowa, tak długo nie wytrzyma. A stary Grynwald był sławny ze swej kity.

Ciepło więc nie ucieknie, ale, aby nie uciekło, musi być we wnętrzu, a do tygo potrzebne są murzyny i drzewo. Można tyż nałapać w lecie gorącygo powietrza do flaszek, a potym, codzień jedną flachę sprzedać handlarzowi i kupić na to drzewa...)

Ale o murzyny tem trudniej, niż przedtym o brylianty. Myślołem se, że na luteryji klasowyj wygrom choćby sto tysięcy i fundne se bodaj ze dwa cetnary, ale nici!... Zresztą, choćby je człek nawet i kupił, nie poliłby nimi, bo żol puszczaś z dymem, co takie drogie!...

Zostaje zatym cyntralne ogrzywanie z fabryki „Krakus" w Podgórzu. Jest to fabryka, w której się przerabia spirytus na pocieszycielkę utrapionych. Kogo stać na to, może se fundnąć flaszkę, a przekona sie, że hajcować możno od wewnątrz i to sie nazywo „cyntralne ogrzywanie". Drogie jest, ale pewne. Już po pirszyj blaszce miłe ciepło, bo rozchodzi sie po żyłach, po drugij siła wstępuje w człowieka, po trzecij możno sie spocić, a kto próbujący dalej, ten może nawet pojechać na układy pokojowe do Rygi. Ale nie szkoda to, aby na marne szło, co tyle kosztuje?...

Zatym cyntralne ogrzywanie, ale ostrożnie!...

Z awantur haremowych.

Dwaj galicyjscy żydkowie, Szloma i Jojne, wybrali się za interesami do Konstantynopola i tam licho zaniosło ich aż do haremu sułtańskiego, gdzie naturalnie wpadli w ręce eunuchów. Nie wiele brakowało, a byliby ten krok przypłacili życiem. Ułaskawiono ich, mieli jednak ponieść zasłużoną karę.

Dowódca eunuchów kazał im iść w głąb ogrodu i przynieść po trzy owoce, według wyboru.

Pierwszy wrócił Jojne, niosąc trzy śliwki. Oprawcy rzucili się nań, wyciągnęli go na ławie, zdarli zeń garderobę i w pewien otwór cielesny (ale nie ten, którym śliwki dostają się do organizmu, lecz przeciwny..., którędy wydobywają się na światło dzienne niestrawione pestki...), wpakowali mu jedną śliwkę.

Jojnę darł się w niebogłosy, co jednak powtórzyło się z większą jeszcze siłą przy operacyi z drugą śliwką...

Serca siepaczy były niewzruszone (wiadomo bowiem, że uczucia nie mają dostępu do ich serca!...), wyrok musiał być w całości wykonany.

Już zabierano się do umieszczenia trzeciej śliwki w tem samem miejscu, gdzie były dwie poprzednie — Jojne „a conto" spodziewanego bólu wrzeszczał, jak opętany...

Nagle... zaczął się śmiać spazmatycznie. Dowódca eunuchów, ciekawy, co mogłoby być powodem tej zmiany tonu, pyta go o to, a Jojne, wskazując na ścieżkę, mówi:

— Niech pan jenerał dobrodziej patrzy!... Szloma niesie trzy melony!...

I śmiał się dalej, wyobrażając sobie, jakich to przyjaciel i towarzysz niedoli dozna przyjemności!...

Trafna definicya.

— Widzisz tę parę?... To jest prawdziwy omlet małżeński.

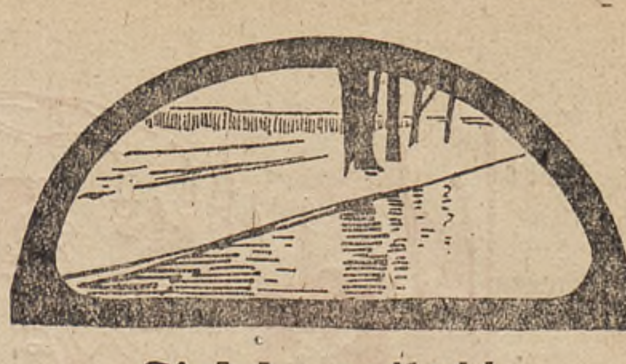
— Nie rozumiem cię zupełnie!

— Zaraz ci wytłómaczę!... Lekarz skonstatował u niego białko u niej cukier. Czegoż więcej potrzeba, aby był omlet!

— Mąki!

— Tak!... Popatrz, jaka ona wypudrowana!





Sielska miłość.

Jestem z zarogatki dziewczę,
Więc mnie kochaj luby szewcze!
Boś jest w wszystkiem ewaniak zdatny,
Chociaż czażem *makidatny*.
Szewc do tego, niechaj łyka,
Przecie chlać nie będzie *mlika*,
Ja się sznapsa też nie boję,
Więc wstawiamy se oboje!
Po fajerant co sobotę,
Kiedy skończył już robotę
Bierze mnie pod lewom pachę
Cygar we twarz, a w garść lachę.
Idziem razem na kufelek,
Całą kupą: Gieńka, Felek,
Mietek, Kazik, Jaś i Frużka
Olek, Wacek, Piotr i Zuźka.
Piją wszyscy, a nad ranem
Każda swego pcha kolanem,
Bo drewnieją im tak nogi,
Że nie mogą znaleść drogi.
Ale z Antkiem to gips krótki
Fajn kiepełe ma do wódki:
Nie bawi się w breweryje
Tylko płacze, gdy się spije!
Gdy w niedzielę się wystroję
Ukarbuję grzywkie moje,
Lampę pudrem se posypie
I poczernię sobie ślipie,
To wyglądam jak hrabina
Aż Antkowi leci ślina,
Przystawia się jak najęty
Lecz bajc na nie i wykręty.
Sypiem razem za rogatki,
Antek śpiewa, ja rwiem kwiatki
Dzień przepędzim, że aż dziwo
A wieczorem gdzie na piwo.
Lecz nazajutrz zawsze piekło,
Antka, jakby coś urzekło:
Chłopak dobry, niby złoty
Że nic nie tknie ci roboty
Ja ujadam, molestuje,
On mnie za to wyrżnie w „tróje";
Ja od ciasta chwycę wałek,
Antek krzyczy: „Poniedziałek!"
Poniedziałek — trudna rada
Stulę gębę, srodze blada,
Niech go kolka tam udusi,
Lecz po piwo sam iść musi!

Różnica.

— Między nosem pijaka, a duchowną osobą jest przecież różnica!

— Jaka?...

— Duchowny najpierw otrzymuje fiolety, a potem dopiero purpurę kardynalską, nos zaś pijaka najpierw czerwienieje, a potem dopiero przechodzi w fiolet...

Dziwny skutek.

(Podsłuchane).

— Co ci jest?... Masz taką minę, jak gdybyś połkął coś gorzkiego...

— Nie dziw się!... Żona zwiastowała mi dziś słodką tajemnicę...



Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

I niewiele już brakowało, a nie byłbym tego listu napisał. Niech mnie jednak kto przypadkowo nie posądzi, że miałem może ochotę zastrejkować!... Broń Boże!... Jestem wprawdzie z usposobienia poetą, gdyż lubię robić nie wtedy, kiedy mi każą, ale kiedy mi się chce, nigdy przecież niezadowolenia swojego zapomocą biernego oporu lub strejku nie okazywałem.

Choć, prawdę rzekłszy, to ja właściwie uprawiałem bierny opór, ale tylko o ile to dotyczy kwestyi matrymonialnej. Na cnotę zamłodu byłem bardzo łaskawy, do małżeństwa nigdy mi się zbyt nie spieszyło. Mówiłem zawsze, że małżeństwo, to bardzo mądry wynalazek, ale tylko o tyle, o ile można komuś pomódz w dmuchaniu w ognisko rodzinne własnego natomiast nie zakładając. Ponieważ jednak miałem przeczucie, że będzie kiedyś ministrem pan Grabski i że opodatkuje także i starych kawalerów, powiedziałem sobie, raz kozie śmierć. Tak ciągle być nie może, trzeba ugiąć karku w jarzmo małżeńskie. Pomagało się innym dmuchać, mogą oni znaleźć sposobność do rewanżu, gdy się zaśpiewa żałośnie: „Pomoc dajcie mi rodacy"!...

Ale, przecież się spieszyć nie lubię z zasady, czego dałem dowód przychodząc na świat dopiero w cztery lata po śmierci mego ś. p. rodzica, powiedziałem sobie: „Masz się żenić, przyjacielu, to się żeń..., ale się nie spiesz!..."

Innemi słowy zastosowałem bierny opór, który na tem polegał, że czekałem, aż mię która z niewiast wybierze, a ja byłbym wtedy nie stawiał oporu. Ale, że to nie było wtedy żadnej wojny, że młodzian, mający wszystko w porządku, nie należał do rzadkości, o którą się panny rozbijają, czekałem długo i cierpliwie, aż się która zgłosi, a że się nie zgłosiła dotąd, jestem starym kawalerem i już dziś serce mnie boli na samą myśl, że nas pan Grabski opodatkuje. Jak mi bowiem w Paryżu opowiadał, ma zamiar nałożyć podatek na kawalerów, ale równocześnie, aby zmarłym nie było zazdrość, opodatkuje i ich. Małżeństwo bezdzietne będzie mieć swój podatek, małżeństwo z dziećmi osobny, tak, aby nikt nie mógł narzekać, że się mu dzieje krzywda. Podobnych przykładów ma pełną tekę i jest święcie przekonany, że uda się mu zdławić deficyt.

To przecież wszystko do rzeczy nie należy. Ja miałem wytłómaczyć, dlaczego niewiele brakowało, a niniejszego listu byłbym nie napisał.

Rzecz tak się ma cała. Clemenceau, któremu, gdy kandydował na prezydenta republiki, pomagałem do ożenku (i nie ożenił się i prezydentem nie został!...) bardzo mi jest wdzięczny i daje mi to stale do poznania. Obiecał mi nawet po najdłuższem swem życiu zapisać stare kalosze, parasol i cylinder, jako iż tych części garderoby wraz ze sobą do trumny się nie zabiera. Ow Clemenceau zatem, spotkawszy mnie onegdaj na *Quai d'Orsay* (tylko proszę liter nie poprzestawiać!...) powiada tak:

— Słuchaj kochany panie Klapa!... A możebyśmy tak razem pojechali do Indyi?... To ojczyzna tygrysów, nie wypada zatem, aby tam nie był „stary tygrys" bodaj raz w życiu... Stamtąd pojedziemy do Japonii, a potem wrócimy do Paryża. Jeżeli masz ochotę i pieniądze, wezmę cię na swój koszt!

— Co się tyczy ochoty — ja mu na to — to tej ochoty mi nigdy nie brak, co się jednak tyczy monety, to klapa!... I to taka klapa, która się nigdy nie domyka!

— To mi bardzo żal... A bylibyśmy się tak ładnie zabawili... W Gangesie zapolowalibyśmy sobie na gazele, w dżouglach na słonie i tygrysy, a w Japonii...

— Na gejsze! — przerwałem mu.

— Tobie to tylko głupstwa w głowie!... Już jesteś pełnoletni, mógłbyś się raz upamiętać... Jadę zatem sam, gdyż nie chcę być we Francyi w czasie wyboru prezydenta. Raz spaliło na panewce, nie mam ochoty próbować drugi raz. Zresztą, choć siły mam, żenić się nie mogę... Czy wiesz?... Dostałem list od adwokata tej panny, która pomagała raz próbować, czy ja się nadaję do stanu małżeńskiego:.. Trzeba będzie płacić!

— O!... To klapa!... Oby tylko nie spotkało mnie coś podobnego. Śpiewam wprawdzie z poetą,

„Lecz minęły dni wiośniane
I przekwitły ciała wdzięki,
Wszystkie członki mi już trzasły
Tylko jeden..."

— Pfe!... daj spokój — przerwał. — Co ci z tego, jeżeli ci to prokurator skonfiskuje.

— Proszę mi nie przerywać, gdyż tego nie lubię!... Otóż, choć tak mogę śpiewać, człowiek nie może być nigdy pewny dnia, ani godziny, bo od czegóż przysłowie: „Jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści?..." Mógłby się zatem i im przydarzyć podobny wypadek, a nie chciałbym tego!... Jestem oszczędny i nie lubię niepotrzebnie wyrzucać pieniędzy w błoto!... A nie należy zapominać i o tem, że my, starzy, płacimy zwykle za młodych, a oni śmieją się z nas w kułak!...

— Wiem — Clemenceau na to. — I ja już o tem myślałem!... Ja ciągle posądzam mego sekretarza...

Ostatecznie Clemenceau pojechał sam na gazele, słonie, tygrysy i gejsze, a ja zostałem w Paryżu, chciałbym bowiem namówić Millleranda, aby się starał o fotel prezydyalny po Deschanellu.

Ale on nie ma ochoty i powiada, zupełnie zresztą słusznie:

— Niema głupich!... Życie mi miłe!... Wie pan chyba, że prezydenci Republiki wypadają przez okno z pociągu...

— Ale tylko na trawę!

— Choćby i na trawę!... Można się i tak potłuc, albo zaziębić, jak się to stało waszemu ministrowi spraw zagranicznych... Z tego powodu wysłałem nawet do Warszawy depeszę gratulacyjną, że się obeszło bez silnej katastrofy... A możeby pan, panie Klapa, przyjął tę posadę?... Roboty nie dużo, pensya ładna... Ale musiałby się ożenić, by kto miał robić honory domu...

— Otóż to sęk!... Ja się już żenić nie myślę... Cóż to zresztą za godność prezydent Republiki?... Mnie proponowano w swoim czasie godność króla kurkowego, a nie chciałem!... A wie pan, kto to jest król kurkowy?

— Nie!

— To panu powiem!... Jest to taki dygnitarz, na którego cześć się strzela i trąbi!

— Na trąbach?

— Nie!... Na kieliszkach! Nie dziwię się, że nic o nim nie wiecie, ogłosił bowiem w tej wojnie — ścisłą neutralność i święcie jej dochował.

— To bardzo ładnie z jego strony! A duże jego królestwo?... Może możnaby nawiązać jakieś handlowe pertraktacye?

— Dlaczego nie!... Królestwo wprawdzie małe mogłoby w ostateczności dostarczyć trochę trawy i kasztanów...

— Doskonale!... Zaraz wysyłam tam specyalną misyę!... Czy można się powołać na pana?...

Bardzo proszę... Ja mogę występować jako ambasador króla kurkowego i jego delegat do Ligi Narodów...

— Ślicznie!... Wszystko zatem w najprzedniejszym porządku...

I rozeszliśmy się, bo jemu się spieszyło, a ja nie mam czasu, gdyż telegrafował po mnie Lloyd George w jakiejś ważnej sprawie.

O co mu chodzi, na razie nie wiem, ale gdy się dowiem, to Wam napiszę.

Tymczasem całuję Was wszystkich razem i każdego z osobna, w miejsce, które każdy sam łaskawie raczy oznaczyć, prosząc naturalnie o wzajemność, ale po kolei!...

Klapa.



Trafna dyagnoza.

Pewien specyalista chorób skórnych, wykładając swym słuchaczom o świerzbie, zwrócił ich uwagę, że według lokalizacyi chorobowych można zbadać, w jakim zawodzie pracuje dany osobnik. Jeśli prowadzi żywot siedzący, najbardziej zaatakowane są te części ciała, które z krzesłem wchodzą w bezpośrednią styczność.

Po wykładzie demonstracya chorych, a jest między nimi dany osobnik, u którego rozpoznano świerzb.

— Ot, macie panowie przykład, że jest tak, jak mówiłem! — zwraca profesor uwagę słuchaczów. — Patrząc na tego chorego, możemy powiedzieć z całą stanowczością, że używa mało ruchu. Człowieku!... A czem ty się trudnisz?

— Ja, proszę pana profesora, jestem roznosicielem depesz telegraficznych i cały dzień jestem na nogach!... — odpowiada zagadnięty.

W szkole.

Profesor: Gazduła!... Które zdarzenie uważasz za najważniejsze w dziejach panowania Kazimierza Wielkiego?

Gazduła: (nieprzygotowany jąka się): ...Kazimierz Wielki urodził się... Kazimierz Wielki urodził się...

Profesor: (przerywając): Po części masz racyę!... To jest bardzo ważny wypadek, gdyż, gdyby się nie był urodził, nie wspominałaby o nim historya, ale to nie wystarcza... Siadaj!

Troskliwa mama.

— O!... Ja mojej Frani nie wydam za byle kogo!... Musi znaleźć takiego, który miałby bardzo wysokie stanowisko...

— Ja znam takiego i wiem, że chciałby się ożenić!

— Któż taki, moja pani?...

— Trębacz z wieży Maryackiej!...



Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Srokowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Stefana Kaczmarczyka.



DWIE SIOSTRY:

SIOSTRA W MIEŚCIE: Wstydź się Hanko! czy niewieście, można jak ty chodzić w mieście? Patrz, jak na mnie lśnią w powabie te koronki i jedwabie!...

SIOSTRA ZE WSI: Ja się przewdziać? Za nic w świecie! – Choć mnie ganisz, mówię przecie: — Nie koronki moja Bronko, ale to co pod koronką!...